

Antypomnik

Tadeusz Nyczek

Najpierw trochę dat.

Pod tekstem Na czworakach położył Tadeusz Różewicz datę 1965 – 1971. Główną rolę powierzył zdziwaczemu staremu poecie. W pierwszym akcie – „erotycznym” – poeta najogólniej mówiąc usiłuje dosyć niezdarnie uwieść młodą panienkę piszącą o nim „dysertację”. W drugim – „pośmiertnym” – staje się własnym pomnikiem, obiektem muzealnej czci „zwiedzanym” przez wycieczki szkolne. Wiele znaków na niebie i ziemi wskazywało, że to dramat mocno autobiograficzny.

W roku 1965 Różewicz miał lat czterdzieści cztery, w 1971 – równo pięćdziesiąt. Jaki tam „stary poeta”! Trzydziestoparoletni pisarze uchodzili wówczas za młodych; Różewicz był najwyżej w sile wieku, w centrum życia. Przed sobą miał jeszcze niemal drugie tyle. A przecież napisał sztukę o kimś, kto przeżył już właściwie wszystko i teraz służy głównie za obiekt adoracji mediów i żywy przedmiot do wieszania na nim orderów. Naprawdę nie wiadomo, ile ma lat. W pierwszym zdaniu didaskaliów autor mówi o nim – „stary człowiek”. Może więc mieć równie dobrze lat pięćdziesiąt, co siedemdziesiąt.

Nie starość, ani tym bardziej zgrzybiałość, jest tak naprawdę przedmiotem Na czworakach. Laurenty czasem gra większego ramola niż się zdaje. Albo, odwrotnie, młodszego, zwłaszcza w stosunku do panienki (studentki?), która przyszła go wypytać w związku z przygotowywaną dysertacją o jego twórczości. To przede wszystkim komedia o twórcy, który usiłuje uciec przed własnym pomnikiem. Laurenty wolały pobawić się kolejką albo pouodzić piękną Małgosię, ale do drzwi wciąż stukają urzędnicy państwowi z medalami i odznaczeniami. Różewicz nieźle znał temat; zanim napisał Na czworakach, miał już w swoim biurku, między innymi, Złoty Krzyż Zasługi, Nagrodę Państwową 2. stopnia, Nagrodę Miasta Krakowa, Nagrodę 1. stopnia Ministra Kultury i Sztuki, Nagrodę Państwową 1. stopnia, Nagrodę miesięcznika „Odra”. A to był tylko początek tego, co go czekało w dalszych latach.

Musiał czuć się niewyraźnie, choć zapewne niektóre odznaczenia przynosiły konkretne profity. A przecież wszystko, co pisał dotąd i co zamierzał jeszcze napisać, głęboko kłóciło się z Pryncypialnością, Hierarchią, Klasycznością, Zasadami i Honorami. Nie aspirował do rangi nauczyciela ludu ani sumienia narodu. Forma i treść jego poezji, dramaturgii, także prozy krytyczno-publicystycznej szły pod prąd, burzyły kanony, podważały reguły. W Na czworakach postanowił rozprawić się z publicznym mitologizowaniem kogoś, kto wcale jeszcze nie ma zamiaru zamienić się w pomnik. Ośmiesza więc ideę pomnika wyszydzając go, lekceważąc i swoiście poniżając. Pomnik przecież to coś dumnie pionowego i utrwalonego w twardym materiale, zaś Laurenty prowokacyjnie łączy na czworakach i zmusza innych do opadania na cztery łapy. Czworaki jednakowo ośmieszają nagradzanego i tych, co nagradzają... „Poeta narodowy” sprowadzony do pozycji psa czy chomika to już nie kpina nawet, a czyste szyderstwo. Spójrzmy też, co Różewicz zrobił z wieńcem laurowym, najwyższym symbolem chwały w antyku: wkleił go w dziwaczne imię poety, dożywotnią ironiczną pieczęć.

Laurenty, nie chcąc się poddać poniżeniu przez wywyższenie, znalazł sobie szczególną drogę ucieczki: sztubackie wygłupy. Nieustannie robi gombrowiczowską gębę wszystkim, którzy go odwiedzają.

Podpuszcza ich, zachodzi to z jednej, to z drugiej strony, atakuje i wycofuje się z niewinną miną, wypróbowywuje stopień odporności innych na prowokacje. Wie, że świat chce go usidlić, przyszpilić: do zupy i papci (Pelasia), do państwowych laurów (urzędnicy), do starych sentymentów i resentymentów pokoleniowych (kolega poeta Sitko), do pogodzenia się z losem chorowitego dziada (doktor Racapan). Naprawdę interesuje go tylko Małgorzata, młode, niewinne remedium na sparcałe ciało i robaczywą duszę. Ona nawet nie byłaby od tego, by podjąć tę erotyczną grę – Laurenty wyraźnie fascynuje ją jako sławny obiekt „naukowych” badań. Pozostają jednak ci wszyscy inni, którzy nieustannie wpychają się między nich. Zazdrosna Pelasia, niegdysiejsza kochanka; kolega Sitko, krzywe lustro bohatera; Ojciec Kontestator, fałszywy sługa boży, skryty erotoman pełen frazesów o grzesznym seksie.

Paradoksalnie, jedynym poplecznikiem starego poety okazuje się najciemniejsza postać sztuki, pies Pudel, przywołany tu wprost z mitu o Fauście. W słynnym poemacie Goethego ukrywający się w skórze czarnego psa Mefistofeles zawiera pakt z Faustem, obiecując mu przywrócenie młodości w zamian za nieśmiertelną duszę. Odmłodzony alchemik zakochuje się w młodziankiej Małgorzacie, uwodzi ją... i tu się zatrzymajmy, bo dalszy ciąg faustycznego mitu już nam się nie przyda do naszej opowieści o Laurentym i pięknej studentce Małgorzacie. Zresztą cały ten mit bierze tu w łeb. Pudel proponuje Laurentemu-Faustowi dziewczeczkę Małgosię i zgodnie z regułami mitologicznej gry zrazu żąda duszy, ale rychło z niej rezygnuje: „nie ma piekła / nie ma nieba / więc twej duszy / mi nie trzeba”. Jesteśmy przecież w XX wieku, wieku zwątpienia, wieku „śmierci Boga”. Dusza staje się liczmanem używanym w potocznej frazeologii, jej metafizyczna istota wyparowała.

Czy Laurenty w ogóle w coś wierzy? Czy wierzą w cokolwiek jego goście? Wątpliwe. Skoro cała sztuka ironią i szyderstwem stoi... I właściwie żadna postać nie jest jednoznaczna. Każda gra jakąś drugą, ukrywaną rolę, zmienia maski, myli tropy. Nawet z prostolinijnej wydawałoby się Małgorzaty, skromnej magistrantki zwanej wśród przyjaciół kurczątkiem, wyłazi zwodnica-rusałka, udająca cieleń ofiarne na ołtarzu literatury. A Pelasia? Niby prosta kuchta, a z jaką zadziwiającą łatwością przechodzi z języka w język, z wiejskiej gwary w literacką elegancję! Język, a raczej języki, to w ogóle osobna gra w tej sztuce, której bohaterem nie przypadkiem jest poeta. Czegóż nie nawymyślał tam Różewicz! Istna wieża Babel, w której czasem trudno się połapać, co, kto i dlaczego. Mówi się tam po polsku, francusku, niemiecku i łacinie, gada cytatami z literatury, potocznymi frazeologizmami, przysłowiami, kolokwializmami, „mową-trawą” z partyjnych przemówień (pamiętajmy, jest PRL) i dzienników telewizyjnych.

Teraz trochę prywaty.

Kiedy Tadeusz Różewicz finalizował pisanie Na czworakach, obaj z Jerzym Stuhrem byliśmy tuż po studiach polonistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim. Różnych miewaliśmy idoli literackich, jak to poloniści, wśród nich oczywiście Witkacego i Gombrowicza. I zaraz obok – Różewicza właśnie. O jego poezji wiedzieliśmy tyle, co wiedzieć należało, ale nas urzekł przede wszystkim jego teatr. O Kartotece krążyły legendy, znaleźliśmy ją przede wszystkim z niezwyklej telewizyjnej inscenizacji Konrada Swinarskiego z Tadeuszem Łomnickim w głównej roli (1967). W 1965, gdyśmy zaczynali nasze studia, Jerzy Jarocki wystawił w Starym Teatrze sztukę Różewicza, która rychło weszła do kanonu jego arcydzieł – Wyszedł z domu, ze słynnymi rolami Ewy Lassek (Ewa) i Marka Walczewskiego (Henryk). Niezapomniane przeżycie... Trzy lata Projekty kostiumów – Elżbieta Terlikowska później w tym samym teatrze pokazał świetną Moją córeczkę, adaptację znanego

opowiadania. Niecały rok później Krzysztof Jasiński po swojemu wyreżyserował to opowiadanie w studenckim Teatrze STU. Stuhr, wciąż na polonistyce, był już wtedy aktorem w zespole STU i zaczynał studia aktorskie na PWST. A Różewicz pisał sztuki jak szalony, między 1965 a 1971 napisał ich, bagatela, dziewięć!

Jak się rzekło, równolegle z polonistyką Jurek S. zaczął studiować aktorstwo, i choć posiadał dyplomy obu kierunków, został już przy graniu, a lata później dorzucił reżyserowanie. Co ciekawe, choć Różewicz był wszędzie wokół nas, Jerzy – wyjąwszy warsztatowe ćwiczenia na studiach – nigdy nie zagrał w żadnym Różewiczu ani żadnego nie wystawił. I nagle teraz, po dziesiątkach lat pracy nie tylko przecież w teatrze – Różewicz. I to właśnie Na czworakach! Przypadek?

Jak znam Stuhra, artystę wyjątkowo konsekwentnego w tym, co planuje i co robi, o przypadku nie ma mowy. Więcej – widzę w tej decyzji zamiar świadomie perfidny i perfidnie świadomy. Przypomnijcie sobie ostatni film Stuhra, Obywatela. Zagrał tam – reżyserując własny scenariusz – tragicomiczną postać Jana Bratka, współczesne wcielenie Piszczyka konformisty pamiętnego ze sławnego filmu Andrzeja Munka. Kogoś, kogo między innymi grywał w filmach kina moralnego niepokoju, także własnych. Obywatel opowiadał o życiowych perypetiach jakby jednego z nas, urodzonych tuż po wojnie, kto przeszedł wszystkie szczyble pozornych sukcesów i prawdziwych upokorzeń w chorym świecie wcielonemu socjalizmu, a i dziś kiepsko się odnajdywał w nowej Polsce. Można by powiedzieć: znaleźmy go, chodziliśmy z nim do szkoły, byliśmy z nim w wojsku, ożenił się z naszą koleżanką. Bratek to także trochę ja, który to piszę, i trochę Stuhr, bo nikt nie jest wolny od Bratka w sobie. Tym filmem Jurek opowiedział o kimś bliskim, zwykłym bohaterze marnej codzienności.

Na czworakach wydaje się dopełnieniem tej specyficznej bio-autobiografii. Jest przecież nie tylko ironiczną opowieścią o dowolnej proveniencji Artyście Narodowym, który postanowił zabawić się w chowanego ze światem sztucznej celebry i pustych gestów, rozliczając się przy okazji ze swoich obsesji, lęków, kompleksów i wstydu. Ileż dziwnych, utajonych rzeczy wie o Laurentym choćby diabelski Pudel... Czyżby Jerzy Stuhr był także, w jakiejś mierze, odrobinę – Laurentym? Dziś mój przyjaciel to przecież cała Instytucja na czworakach 9Artystyczna. Jednoosobowa firma, ktoś rozpoznawalny w każdym zakątku nie tylko naszego kraju, od dziesiątków lat stale obecny choćby w kulturze włoskiej. Gdyby zawiesił sobie na piersi wszystkie otrzymane dotąd ordery i odznaczenia, te rozmaitej wagi i koloru Krzyże Komandorskie i Kawalerskie, nagrody zwykłe, specjalne i honorowe, Złote Medale, Złote Berła, Złote Lwy i Kaczki, mógłby śmiało konkurować z mundurowym gorsem generała Leonida Breżniewa, słynnego I Sekretarza Komitetu Centralnego Związku Radzieckiego.

Nic, tylko opaść na czworaki i obwąchać kolano jakieś prześlizgniętej panienki, która przyszłaby na wywiad ze swoim idolem.